TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 28. Chicago, Ill., Czwartek, 14-go Lipca, 1898 Rok XII.

Książe Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Po otrzymaniu bogatych darów, Jermak i Koleo uproszeni by szli na uczciwe i wielkie dzieło, stanęli z trzema innymi atamanami na zawołanie Strogonowych. Czterdzieści łodzi natychmiast naładowano prowiantem i niewielka drużyna po wysłuchaniu nabożeństwa popłynała pod Jermakiem wesoło śpiewając po rzece Czusowej ku dzikim Uralskim górom.

Podbijając wszędzie nieprzyjacielskie plemiona przewłócząc łodzie z rzeki do rzeki, dotarli w końcu do brzegów Irtysza, ...ie zwyciężyli i wzięli do niewoli głów... sybiryjskiego wojewodę Mametkuła, zdobyli miasto Sybir, znajdujące się na wy...em urwisku Irtysza. Nie dość na tem, Jermak poszedł dalej; zawojował cały kraj do rzeki Obi i kazał zwyciężonym narodom całować swoją krwawą szablę w imieniu cara całej Rusi Iwana Wasiljewicza. Następnie dał znać o swem zwycięztwie Strogonowym i w tymże czasie posłał ulubionego swego atamana Iwana Koleo do Moskwy bić czołem wielkiemu carowi i winszować mu nowego carstwa. Z tą radosną nowiną przyjechali Strogonowie do Jana a wkrótce po nich przybyło poselstwo Jermaka.

Uciecha w mieście była nie do opisania. We wszystkie dzwony uderzono jak w dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Car obdarzywszy szczerze Strogonowych wyznaczył uroczyste przyjęcie Janowi Koleo.

W ogromnej sali Kremlu, otoczon całym przepychem carskiej wielkości, Iwan Wasiljewicz siedział na tronie, w złotej ryzie, ozdobionej drogiemi kamieniami. Po prawej ręce stał carewicz Fedor, po lewej Borys Godunow. Dokoła tronu i drzwi porozstawiani byli łucznicy w białych aksamitnych kaftanach, wyszywanych srebrem, a złocone topory mieli za plecami. Cała sala pełną była książąt i bojarów. Wzmocniony na duchu otrzymaną od Strogonowych wieścią, Jan patrzał nie tak już ponuro a nawet uśmiech miał na ustach, gdy rozmawiał z Godunowem. Ale twarz nadzwyczaj mu się zestarzała, zmarszczki pogłębiły; na głowie pozostało nie wiele włosów a z brody wylazły wszystkie.

Borys Fedorowicz ostatniemi czasy prędko wzniósł się do góry. Był nawet szwagrem carewicza Jana, bo za niego wyszła Irena jego siostra, i piastował teraz ważny urząd koniuszego-bojarzyna.

Powiadają nawet, że car Iwan Wasiljewicz chcąc pokazać, jak blizkimi jego sercu są: Godunow i Irena, podniósł raz trzy palce do góry i tak się ozwał, dotykając je drugą ręką:

— Oto Fedor, to Irena a to Borys. Jakby mnie bolała ręka, gdyby który z tych palców od niej odcięto — tak by mnie bolało serce, gdybym stracił które z tych trzech ulubionych dzieci.

Godunow mimo to nie był ani dumnym, ani zarozumiałym. Owszem jako i dawniej był dla każdego dostępnym i ugrzecznionym, w mowie wstrzemięźliwym; jeno postawa jego miała tę spokojną powagę, która przystała tak wysokiemu stanowisku.

Nie bez uszczerbku jednak dla swej moralnej godności dosięgnął Godunow takiego wpływu i znaczenia przy dworze. Nie zawsze udawało się giętkiemu Borysa charakterowi nie uczestniczyć w czynach niezgodnych z głosem sumienia. I tak, widząc w Malucie nadto silnego przeciwnika i straciwszy wszelką nadzieję na zmniejszenie jego znaczenia u Jana, złączył się z nim węzłami szczerej przyjaźni, i gwoli większemu upewnieniu się w wspólnych korzyściach, pojął jego córkę za żonę. Dwadzieścia lat u tronu takiego cara, jakim był Iwan Groźny, nie mogły przejść bezkarnie Borysowi Fedorowiczowi, i stał się już w nim ten smutny przewrót, który według zdania współczesnych uczynił przestępcę z człowieka, obdarzonego najwyższemi przedmiotami. Patrząc na carewicza Fedora, mimowolnie nasuwała się myśl, że słabe są te ręce, które miały podtrzymywać państwo po śmierci Jana. Najmniejszego rysu siły duchowej ni umysłowej nie wykazywała jego twarz dobroduszna, lecz bez żadnego życia. Dwa lata, jak już miał żonę, lecz podobień był do dzieciaka. Wzrostu małego, kompleksyi słabej, o bladej i opuchłej twarzy. Nadto uśmiechał się ciągle i patrzył trwożliwie. Nie naprózno krążyły wieści, że car żałując starszego syna, mawiał do Fedora: "Powinieneś był się rodzić dzwonnikiem a nie carewiczem!"

— Ale Bóg jest litościwym — myślało wielu — to nic, że carewicz jest słabym; szczęście, że nie udał się ani w ojca ani w starszego brata. A pomagać mu będzie w urzędach szwagier Borys Fedorowicz. Ten nie da upaść państwu.

Szmer, co się rozlegał między dworakami, został nagle przerwany odgłosem trąb i dzwonów. Do sali weszli posłowie Jermaka, a za nimi Maksym i Nikita Strogonowie z swoim stryjem Semenem. W końcu nieśli słudzy drogie futra, różne starożytne naczynia i mnóstwo nieznanej dotąd dziwacznej broni. Iwan Koleo, idący na czele poselstwa miał już koło pięćdziesiątki. Średniego wzrostu, silnej budowy, z bystrym przenikliwym wzrokiem, z czarną gęstą lecz krótką brodą, gdzieniegdzie przeplataną siwemi włosami.

— Wielki carze — rzekł, zbliżywszy się do stopni tronu — kozacki twój ataman Jermak Timofeicz, wraz z kozakami z Wołgi, których twoja carska miłość osądziła na śmierć, starał się zasłużył na przebaczenie za swoje winy i bije ci czołem, winszując nowego carstwa. Dodaj wielki carze do zawojowania przez siebie carstw: Kazańskiego i Astrachańskiego jeszcze i to Sybirskie.

Gdy to powiedział Koleo razem z towarzyszami padł na kolana i schylił głowę ku ziemi.

— Wstańcie dobre moje sługi — rze-

— co było a nie jest, to nie pisze się w rejestr. Dawne winy są wam darowane. Podejdź tutaj Koleo.

Car wyciągnął doń rękę, a Koleo podniósł się z ziemi, i by nie stanąć na samo czerwone podnóże tronu, rzucił wprzódy na nie swą baranią czapkę, na którą wstąpił jedną nogą i schyliwszy się nizko przyłożył swe usta do ręki Jana. Car go uściskał i pocałował w głowę.

— Dziękuję Przenajświętszej Trójcy — ozwał się car wznosząc oczy ku niebu — widzę nad sobą wszechmocną opatrzność boską, albowiem podczas gdy cisną mnie wrogowie moi, a nawet słudzy krwiożerczy chcą mnie stracić, litościwy Bóg daje mi górę i przemoc nad poganami i zwiększa granice mego państwa.

I rzuciwszy dokoła bojarów tryumfującym wzrokiem dodał niby z pogróżką:

— "Jeśli Pan z nami — nikt przeciw nam."

Lecz w tejże chwili uczuł, że niepotrzebnie zakłóca ogólną radość i zwrócił się do Kolea, zmieniwszy na łagodny wyraz swych oczu.

— Jak ci się podoba Moskwa? Czyś widział gdzie takie sale i cerkwie? A możeś już i dawniej bywał tutaj?

Koleo skromnie i chytrze się uśmiechnął, a białość zębów, wydało się, że olśniła jego twarz ogorzałą.

— Gdziebyśmy tam nędzni ludzie takie cuda widzieli! — odparł, wzruszając ramionami — i nie śniło nam się nawet o czemś podobnem. Na Wołdze żyjemy po chłopsku, a o Moskwie tylko słyszymy i w kraju tym nigdy jeszcześmy nie byli

— Pomieszkaj tutaj — mówił Jan uprzejmie — każę cię ugościć jak najlepiej Papiery od Jermaka przeczytaliśmy i 500 strzelców z kniaziem Bołchowskim i Iwanem Głuchowym przyjdzie im na pomoc.

— Szczerze dziękujemy — odpowiedział Koleo — jeno czy to czasem nie będzie za mało, wielki carze.

Jan dziwił się śmiałości posła.

— Oho! jakiś to prędki — rzekł, patrzan ostro — nie każesz czasami, abym pobiegł wam na dodatek? Zdaje ci się, ja mam myśleć tylko o waszym Sybirze? Potrzebni są ludzie na chana i na Litwę Bierz co ci dają, a po drodze zbieraj ochotników. Dosyć jest teraz różnej chołoty na Rusi. Zamiast dokuczać mi codziennie o chleb, niech idą zaludniać te nowe ziemie. Iarchierejowi wołogodskiemu napisaliśmy, by posłał z wami dziesięciu popów do odprawiania mszy św. i innych obowiązków.

— I za to szczerze dziękujemy twojej carskiej miłości — odpowiedział Koleo, kłaniając się po raz drugi — rzecz to jest bardzo dobra, ale nie żałuj już, wielki carze, oprócz popów, i broni i ładunków jak najwięcej.

— Niech cię głowa nie boli, Bołchowski już wie o tem.

— I wytarliśmy się też nieco - napomknął Koleo, z chytrym uśmiechem.

— Tak! To w Sybirze nie było kogo po drodze grabić — rzekł Jan, niekontent z nalegań atamana. — Jak widzę, o niczem nie zapominasz, lecz i myśmy swoim słabym rozumem już o wszystkiem pomyśleli. Odzież wam wydadzą Strogonowie, ja zaś wyznaczyłem carski żołd dla dowódzców i żołnierzy. Więc żebyś i ty, panie dowódzco, nie pozostał bez ubrania, daję ci futro z swego ramienia.

Na skinienie cara dwaj słudzy przynieśli drogą szubę, złotą materyą pokrytą i włożyli ją na Iwana Koleo.

— Język, jak widzę, masz ostry — powiedział Jan — a szabla, takaż?

— Ha, była nie zła, wielki carze, jeno się stępiła o sybirskie głowy.

— Weź z moich składów szablę, jaka ci się najwięcej spodoba. Pamiętaj, wybieraj najpiękniejszą. Wreszcie wzdrygać się chyba nie będziesz.

Z radością zaiskrzyły się atamanowi oczy i rzekł:

— Wielki carze, ze wszystkich twoich łask ta jest największą! Grzechem by było wzdrygać się z przyjęciem twego daru. Wybiorę już twego składu jak najlepszą. Ale — dodał, pomyślawszy trochę — kiedy carze nie żałujesz swej szabli, pozwól mi lepiej wręczyć ją od twego carskiego imienia Jermakowi Timofeiczowi.

I o niego się nie martw — nie zapomnimy o nim. A jeżeli się obawiasz, że-

bym nie umiał dogodzić jego miłości, to weź dwie szable, jednę dla siebie, drugą dla Jermaka.

Koleo radośnie dziękował.

— Bóg ci zapłać! Zasłużymy się twej carskiej miłości temi szablami!

— Ale na szablach nie koniec — mówił dalej Jan - potrzebne są wam jeszcze dobre zbroje. Na ciebie dobierzemy, przymierzysz sam, ale na Jermaka żeby się nie omylić. Jakiego on będzie wzrostu?

— Mojego. Jeno w plecach szerszy, mniej więcej tak, jak ten oto — rzekł Koleo, wskazując na jednego z swoich towarzyszy, tęgiego chłopa, który przyniósł ogromną pakę broni, rzucił na ziemię i stał z tyłu z roździawioną gębą podziwiając to złote szaty królewskie, to ubiór łuczników, otaczających tron. Chciał nawet z którymś cichaczem zaprowadzić rozmowę, by się dowiedzieć, czy to czasem nie wszystko carewicza?

Ale rynda tak surowo spojrzał na niego, że ten już więcej nie powtórzył zapytania.

Car mówił:

— Przynieść tutaj wielką zbroję z orłem. Przymierzymy ją na tego gapia.

Wnet oczy wszystkich zadziwiła ciężka żelazna zbroja, ze złotemi dwugłowemi orłami na plecach i piersiach.

— Wkładaj ją niedźwiedziu — rzekł Jan.

Drągal usłuchał, lecz mimo usiłowań nie mógł w nią się wcisnąć, a ręce doszły zaledwie do łokci.

Carowi w tej chwili przyszło na myśl jakieś dawne zdarzenie.

— Dosyć, dość — zawołał Koleo, z uwagą patrzący na drągala — nie piłuj więcej, jeszcze rozerwiesz. — A potem zwracając się do Jana, rzekł: zbroja ta w sam raz dla Jermaka Timofeicza, ten zaś dla tego wleźć w nią nie może, bo go kułaki nie puszczają, takich kułaków, jak jego, nigdzie nie znajdziesz.

— Pokaż-no swój kułak — powiedział Jan, z ciekawością się wpatrując w drągala.

A on patrzył zdumiony, jak gdyby nie rozumiał rozkazu.

— Słyszysz, capie — powtórzył Koleo pokaż kułak jego carskiej miłości.

— A jak mi za to głowę odrąbie? — spytał drągal i na jego głupiej twarzy dostrzedz można było obawę.

Car się roześmiał, a i obecni nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

— Ah durniu, durniu — dorzucił Koleo — byłeś zawsze durniem i durniem zostałeś.

I wyswobodziwszy drągala ze zbroi, poprowadził go do tronu i pokazał carowi jego szeroką dłoń, podobniejszą do niedźwiedziej łapy, niż do ludzkiej ręki.

— Nie gniewaj, się carze, za jego głupotę. Chłop to w gruncie rzeczy dobry. Swemi rękoma żywcem schwycił do niewoli carewicza Mametkuła.

— Jak się nazywasz? — spytał Jan, coraz to z większą uwagą poglądając na drągala.

— A Mitka — odparł ten gapowato.

— Ha, ha! poczekajno! — rzekł Jan, przypominając sobie nagle Mitkę — czy mi się zdaje, czy też naprawdę jesteś tym, co się w Słobodzie bił za Morozowa i Chomiaka chołoblą utłukł?

Mitka się głupio uśmiechnął.

— Ja cię, ryfo, nie poznałem od razu, alem teraz sobie przypomniał twoją mordę.

— A ja ciebie poznałem od razu! — odpowiedział Mitka z zadowoleniem — siedziałeś wtedy na wysokim pomoście.

Tu znów wszyscy gruchnęli śmiechem.

— Bóg ci zapłać za to — rzekł Jan — żeś nie zapomniał o mnie maluczkim. Jakeś że to Mametkuła wziął do niewoli?

— A brzuchem się uwaliłem — odpowiedział zaspale Mitka, i nie pojął, dla czego wszyscy się śmiali.

— Ba! — mówił Jan patrząc na Mitkę — jak się taki kloc uwali, trudno się z pod niego wydostać. Pamiętasz, jakeś Chomiaka przygniótł? Dla czego wtedy uciekł z pola? i jakim to sposobem ze Słobody na Sybir zawędrowałeś?

Tu ataman trącił nieznacznie Mitkę łokciem, żeby milczał, ale on wytłomaczył to sobie przeciwnie.

(Dokończenie nastąpi).

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

To rzekłszy, wydarł się z objęcia żony pomimo prośb dziecka i wybiegł czemprędzej z pokoju. Teodora zaś została, klęcząc na ziemi w cichem cierpieniu z załamanemi ku niebu rękami a Oton leżał u jej nóg i płakał.

Stanąwszy hrabia na dole, zastał swych ludzi w najzaciętszej walce z wrogami. Lecz co chwila musieli przemocy coraz to dalej do zamku ustępować. Spostrzegłszy hrabiego, uczynili jeszcze jedną wycieczkę potężną. Hrabia sam rzucił się na najliczniejsze wroga zastępy i dał im uczuć dzielność miecza swego. Z nienacka zaś ujrzał się z wszech stron otoczonym. A że był daleko od swoich odcięty, wzięli nad nim czarni rycerze górę, rozbroili go i związawszy mu z naigrawaniem i radością ręce i nogi, wlekli go przed swego dowódzcę.

Na ten widok śmiał się Dytrych Felzenhejm z szatańskiem wyrazem na dzikiej swej twarzy, z ust jego długo i czarno obrosłych te się dały słyszeć słowa: "Jakże, Panie Rycerzu z złotym łańcuchem; nie stałoż się jakiem ci w szrankach na rycerskie moje słowo poprzysiągł? Teraz pójdziesz ze mną. Za ów raz, który na turniejach w rękę dostałem, chcę cię słoną wodą i grubym chlebem żywić. Tam na owej dzikiej skale, nad brzegiem Renu sterczącej, w owym wysokim zamku Felzenhejm znajdują się duszne i stęchłe sklepy, do których już od lat kilku świeże powietrze nie doszło ani się żaden promień słoneczny nie wdarł. Tam to niełatwo weźmie się chętka na złotą gwiazdę z złotym łańcuchem."

Na to zaś hrabia nic nie odpowiedział. Pojrzał tylko łzawem i smutnem okiem w nocne niebo, potem ku słabo oświeconemu oknu owego pokoju w zamku w którym był żonę i dziecię zostawił, a to spojrzenie wyrażało dokładnie wewnętrzne jego cierpienie. I cóż mógł innego w strasznem tem położeniu robić? Bogu się tylko mógł oddać z ufnością. Modlitwa mu też przyniosła wzmacniającą pociechę i spokojność duszy.

Tymczasem uciszyło się na dziedzińcu zamkowym. Przekonawszy się bowiem iż się hrabia rzeczywiście w ręce nieprzyjaciół dostał, cofnęli się jego ludzie w małej liczbie, pozostali przy życiu. Felzenhejm zaś, nie znajdując więc żadnego oporu, wyłamał z swoimi rabusiami wrota drzwi wnętrznego zamku. Łoskot i trzask w pokojach rozlegający się przeraźliwie po nocy, oznaczał dokładnie, co za nieproszeni goście w nich gospodarowali. Felzenhejm zabrał kosztowności najpiękniejsze a potem pozwolił swej zgrai łupić i zabierać wszystko, co im tylko pod ręce się nawinie.

Gdy się to działo, leżał hrabia cicho i znękany na twardej skale mchem tylko porosłej, a czterech czarnych giermków trzymało straż nad nim. Musiał on zdaleka patrzeć jak jego własność na wozy nieprzyjacielskie kładziono. Dałby im przecie tysiąc razy chętnie wszystką swoją zamożność gdyby tylko wiedział, iż się żona i dziecię na bezpiecznem już miejscu znajdowali. Lecz któż go mógł o tem zaspokoić? Wzdychał i płakał wiele, aż łzy jego mech na skale zupełnie przesiączyły. Nawet kamień, na którym się wspierał, byłby się nad nim zlitował, gdy się tymczasem strzeżący go giermkowie głośno i szyderczo z niego wyśmiewali. To martwiło biednego rycerza tem dotkliwiej, przecię nie odezwał się z żadnem użaleniem. Z tego powodu było mu jeszcze cięższej na sercu, tak że mu przytłumiana gorycz głowę zawróciła. Skłonił ją więc na

wpółprzegniłą wiązkę słomy i zasnął wśród cierpień najboleśniejszych.

Po upłynieniu dwóch godzin wrócili rabusie z zamku. Nagle uczuł się hrabia srodze uderzonym w ramię. To i klątwa straszliwa obudziły go. Stojąc przed nim Felzenhejm, rzekł: "Jużeśmy gotowi." Tu machnął gołym mieczem tak, że aż zagwizdało. "Jużeśmy gotowi!" rzekł dalej. "A jak mi się zdaje, Panie rycerzu, i Pan jesteś gotów. Teraz sobie pojedziem wesoło do Felzenhejmu. Jeżeli ci rada moja co znaczy, to pożegnaj się z wszystkiemi powabami pięknego tego świata. W okropnych ciemnicach Felzenhejmu będą ci nietoperze prześlicznie sykały; będzie to dla ciebie śpiewem słowika A brzydkie żaby obudzą cię swym skrzekiem. Będzie to dla ciebie pieśnią skowronka. Blask przegniłego drzewa ma ci za dniowe światło służyć a kupa spróchniałej słomy ma być twojem ślicznem łożem. I to są przyjemności pięknego tego świata. Co mówię? Są to największe rozkosze A jak się domyślam, będzie daleko jeszcze większą uciechą strapienie dla twojej żony, która się w zamku skryła a przecię od dymu udusić a potem spalić się musi. Nie prawdaż? Czemuż na mnie tak patrzysz rozpaczającym wzrokiem? Nie prawdaż? ty mi sam przyznajesz, iżeś śmierci godzien. Do tego musisz mię wspaniałomyślnym nazywać, gdy ci dozwolę, iż sobie w ciemnicach rozmyślać będziesz mógł wszystkie swoje piękne czyny. To uczyniwszy nie zapomnij i o owych turniejach, ani też o dniu, kiedyśmy z sobą pod Falkenbergiem walczyli."

To rzekłszy, zatrąbił w róg przy boku wiszący i pojechał przez rozwalone mury. Za nim toczyły się wozy łupem napełnione, przy których z obu stron zbrojni jechali. W tyle można było widzieć wóz mizerny z staremi gratami. Na ten to wóz wrzucono hrabiego. W koło tego pociągu, osobliwie przy końcu onegoż, jechało mnóstwo czarnych rycerzów, urągających się z biednego niewolnika.

Gdy się już na równinie znajdowali, doszło ich z nad góry gwałtowne trzaskanie. W stokrotnych słupach wznosiły się nad dachem zamku krucze chmury dymu, a wieże stały w pożerających płomieniach. Był to wśród ciemnej nocy przerażający widok. Wszędzie pusto i głucho! nikogo na murach, ktoby wściekłość pożaru poskromić śpieszył. Tylko krzyk nocnego ptactwa, które płomieniem wystraszone, z starych wież uciekając, wśród dymu latało, można było słyszeć. Na równinie zaś pokazał się przy okropnej łunie palącego ogrodu ów straszny pochód czarnych drapieżców, a między nimi ów pojmany, wzdychający baranek. Na samej górze tryumfowało najzgubniejsze zniszczenie, jako ślad wyuzdanej zemsty, które zbrodnię oskarzając, pochłaniającym płomieniem o pomstę do Boga wołało. Na zakręcie drogi około pagórka spojrzał hrabia po raz ostatni na zamek, gdzie tyle dni szczęśliwych był przepędził. Właśnie też zwaliły się mury a cały budynek był podobny do małego piekła. Wtedy się już dłużej nie mógł wstrzymać od płaczu. Wtuliwszy twarz swoją w płaszcz, zaczął na głos płakać. "Sędzio przedwieczny!" zawołał, czy możesz znieść, abym to upodlenie cierpiał? Czy możesz patrzeć, jak mię męki srogo dokuczające przygnębiają? Przed zaledwie godziną posiadałem żonę ukochaną, a teraz? Cieszyłem się drogiem dziecięciem a teraz? Cichy domowy pokój był mi przewodnikiem na każdej drodze i byłem szczęśliwy. Teraz zaś wszystkiego, wszystkiego mię pozbawiłeś. O czemuż mię doświadczasz tak srogo, tak okropnie? Może w tej chwili, gdy za najmilszemi tęsknię, oni teraz ponoszą męczeńskie męki ogniowej śmierci. Okrutna myśli! O duszo znękana! I ja też wkrótce żyć przestanę. Jeszcze tej nocy srogiej, zbladną me lica, okryją się bladością trupa! Wtedy to znowu będę z nimi, a te kajdany na ręku i nogach przestaną ciężyć, a te łzy w oczach przestaną płynąć. O cóż za radość! Boże, jakże Ci dziękuję! Lecz cóż ja mówię? Jakże mi to wielkie strapienie głowę zawróciło! O Boże, daruj mi! Szemrałem przeciw Twej Opatrzności. Zle więc uczyniłem, Ach nie popełnię już tego więcej. Chętnie wytrzymam tę próbę z statecznością, chociażby się dopiero z mym zgonem skończyć miała. "Potem dodał z głębokiem westchnieniem: "Spuść tylko, o Panie światłości! promień swojej pociechy w mą duszę

gdy noc cierpień za okropnie mię ogarnie."

Po tej modlitwie uczuł się tak spokojnym, że pomimo wrzasku czarnej zgrai w sen zapadł głęboki. Nawet ogromne szturchania woziska, na którem leżał, nie były w stanie go przebudzić. Wtedy dopiero się ocknął, gdy blask rannej zorzy przez zżółkłe gałązki górzystego lasu przedzierał a smutne ptaszki tu i owdzie piosnkę swą poranną nuciły. Wreszcie ujrzał się cały orszak na końcu lasu. W tejże chwili wzmagało się słońce zwycięzko z ponad mgły i zdawało się dzień śliczny zwiastować. Widząc to hrabia, pocieszył się tym widokiem niezmiernie

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Kaplica.

Okolica cała przy Waldbergen była smutna i spustoszona, a zwaliny zamku jeszcze się dymiły. Wschodzące słońce jesienne żaliło się nad zniszczeniem wysokich wieżyc starożytnych, które ono zawsze najprzód witało promieniami swemi. Tą zaś razą świeciło rychlej jak zwykle, światłem swem orzeźwiającem na kaplicę, przy jodłowym lasku stojącą. Odbijało się tam ono od białej szaty jakiejś postaci, która pół schylona przed ołtarzem klęczała, wszystkie swe najmilsze i najdroższe miłosierdziu Bozkiemu poruczając.

Była to Teodora. Przeszłej nocy, kiedy się to hrabia z nią musiał rozstać, przenękała całą godzinę w najzapłakańszym stanie nieprzytomności ducha i oburzenia, z którego się wreszcie ocuciła, słysząc ogromny łoskot z krużganku zamkowego pochodzący. Wykrzyknęła więc z bolesnego przestrachu: "Nie! to nie krok Henryka. O nie, to nie jego ludzie. Jest to szczęk broni Felzenhejma, jest to przerażający chrzęst jego pancerza czarnego. Ach zabił mi mego Henryka. Teraz nadchodzi, aby mię zawlókł na zamek swój skalisty, aby mi zabrał jedyną moją nadzieję, jedyne moje dziecię. O Boże. drżę na samę myśl taką. Czyż nie ma już dla mnie pomocy? — Ojcze niebieski! wszakże masz tyle dróg, na których sługi swoje przed prześladowaniem nieprzyjaciół ocalasz. Proszę, błagam cię, racz rzucić okiem miłosierdzia na mnie! Z załamanemi rękami modlę się do Ciebie, o pokaż mię, gdzie tylko wola twoja, lecz wyrwij mię z rąk Felzenhejma."

Po tej modlitwie klęczała niejaki czas z głębokiem milczeniem. "Matko, złota matko!" rzekł Oton łkając i przytulił do niej swą główkę, tak, że jasne jego kędziorki po jej ręce spadały. "O nigdy, nigdy nie dam się od ciebie rozłączyć; bo bez ciebie żyć bym nie mógł. Ach cóżbym ja począł? Cóżby się ze mną ubogiem dzieckiem stało? — Kiedy czarnego mężczyznę zacznę prosić serdecznie, patrz, tak prosić z wzniesionemi rękami przecię się zlituje nademną. Wszak Bóg dobrotliwy i jemu dał serce. Wtedy to z sobą zostaniemy. A mając cię, matko najmilsza, nie uważam na żadne udręczenia. Chętnie zamienię śliczną tę sukienkę za inną mniej ładną, grubą; nawet chcę pracować od rana aż późno w noc. O ja nie zapomnę, co mi ojciec tak często powtarzał, i zobaczysz, że ci na wielką będę pociechę." Przycisnąwszy chłopca do serca Teodora, zapłakała. "Dobrze tak, drogie dziecię, rzekła, jesteś też moim dobrym Otulkiem. O przyjdźże niech cię jeszcze raz po macierzyńsku uściskam. Nie, my się nie możemy rozstać z sobą. Módl się tylko do Boga, a on się będzie opiekował nami."

Po chwili wstali nagle. Przypomniała sobie bowiem ostatnie słowa hrabiego. Z wielką spiesznością uwiązawszy tłomoczek z kilku sukienek, zawiesiła mandolinę na ramieniu i rzekła wśród łez na ziemię spadających: "Musimy iść ztąd precz, drogie dziecię, precz daleko w inną okolicę, gdzie żaden prześladowca naszego pokoju nie zburzy, gdzie w cichej żałobie opłakiwać będziemy zabitego męża i ojca. Ach, któżby się był spodziewał przed dwoma godzinami na taką rozpacz. Patrz, tu siedział twój ojciec, tu na tem miejscu, które teraz jest skropione łzami naszemi. Pójdź, ucałujmy je po raz ostatni. Wkrótce zostaną z zamku wspaniałego tylko zwaliny okopcone. Będą one spoglądać smutno i ponuro na okolicę, a spiesząc mimo nich wędrownik, otrze so-

bie z łez oko i zapyta: "Gdzież się podziały szczęśliwe dni przeszłości. A błogosławieństwo tej okolicy gdzież się ono podziało?" Wtedy mu pokażą dół, grób wielki, i rzekną: "Oto tu, pod tym gruzem spoczywa błogosławieństwo tej okolicy. Czarny człowiek pochował je tutaj. O biada temu czarnemu człowiekowi! Ach, tutaj spoczywa błogosławieństwo, spoczywa, śpi na wieki. Żona zaś jego, dziecię jego, tułają się od chaty do chaty i pytają się każdej skłopotanej, wynędzniałej twarzy: "Jestżeś ty śmiercią, której szukamy? Jestżeś ty grobem, którego sobie życzymy. Lecz naprożno się pytać będą, bo jeszcze się Bogu nie podobało powołać ich do prawdziwej dziedziny, do ojczyzny pokoju i szczęśliwości. Więc w imię Pańskie! bądźmy cierpliwymi, czekajmy spokojnie aż na raz Bóg skinie, abyśmy się do niego przenieśli. Lecz pozostańmi smutni i będziem żałować w Bogu; aż liście życia naszego opadną, a na mogile naszej kwiatek jesienny wyrośnie."

Tu przyszedł jej na myśl wieniec ów z jesiennych kwiatów, który na stole leżał. Zapłakała więc na nowo. Uplotłam ja mu wieniec śmiertelny, mimo mojej wiedzy. Ach jakże zwiędłym wygląda! Prawda! są też w nim tylko kwiaty jesienne. Mają one krótkie życie, one umrą razem z nim." Potem oglądając się po pokoju, rzekła: "Teraz was żegnam, was ciche miejsca, gdzie przy jego boku siadywałam. I z wami, słodkie, słodkie uciechy, których w grodzie tym rycerskim doznawałam, tak i z wami się żegnam. Boże dobrotliwy! o przyjm moje dziękczynienie za to wszystko. Może ci jeszcze nigdy nie dziękowałam tak szczerze z samej głębokości serca. Także i ty, któryś już legł, mieczem wroga zażgany, o ty mój mężu, przyjacielu serca mego, ty moje wszystko na ziemi, o żegnam na wieki! W niebie znowu się zobaczymy."

To były jej słowa ostateczne. Wziąwszy potem płaczącego Otona za rękę, ciągnęła go łagodnie za sobą ku zasłonie, znajdującej się w ścianie przyległej. Był to wchód do tajnego ganku. I ledwie pokój opuściła, aż się tu już zapamiętałość czarnych rycerzów przez wyłamane drzwi wdarła, hrabinę szukając. A że jej znaleść nie można było, zabrali więc wszystko z pokoju, wszystko do szczętu.

Tajne zaś sklepienie było ciemne i okropne jak noc sama. Przykre schody prowadziły na dół aż do żelaznych drzwiczek znajdujących się w tylnej części budynku. Otwierały się one do ogrodu. Mozolnie tylko i za każdym krokiem nogą po ziemi macając, ujrzała się wreszcie hrabina w ogrodzie. Lecz iluż strachu wytrzymała poprzednio w ciemnocie ganku! W ogrodzie było wszędzie cicho. Żaden z nieprzyjaciół nie pokazał się tam. Tylko trzask palących się budowli pobocznych przerywał okropną ciszę. Zdawszy się na Pana Boga i owinąwszy Otona w jedno skrzydło płaszcza na swych ramionach wyrzuconego, wybiegła z pośpiechem przez mały otwór w murze wykuty, a potem udała się przez pagórek. Ale było to na tej samej ścieżce, którą jeszcze na wieczór z przechadzki powracała. Wtedy biegła była jeszcze z dobrą otuchą i uspokojeniem — a teraz, ach a teraz uciekła przed prześladowaniem mściwych nieprzyjaciół, uciekała i to jeszcze podczas ciemnej nocy.

Będąc już u podnóża pagórka, stanęła i spojrzała na górę. W tejże chwili wybuchnął dachem ogień przez wroga założony, a ogromny huk popalonych belek rozległ się po całej okolicy. Tu już dalej iść nie była zdolna. Zdarzenie okropnej tej nocy ciężyło na jej sercu jak młyński kamień. Czuła się wszystkich sił pozbawioną. Wreszcie mdłości ją ledwie co nie ogarnęły. Lecz na szczęście dostrzegła w małej odległości blade światło, którego powolne pełzanie — ciche, spokojne miejsce zapowiadało. Zebrawszy więc jeszcze raz wszystkie swe siły, puściła się dalej i stanęła w drzwiach kaplicy, w której jeszcze niedawno przed cudownym obrazem klęcząc, Niebieskiej pociechy doznała. Na samym środku wisiała lampa, która niebieski swój blask bardzo mile rzucała na malowidło ołtarza. Umysł prawdziwie nabożny sprowadzał tam codzień na wieczór bogobojnych wieśniaków, ktorzy oleju w lampę dolawszy, znowu ją, gdy się zmierzchało, zapalali. — Trupia bladość ukrzyżowanego Pośrednika, na łonie mat- swojej przenajświętszej spoczywającego, ni-

gdy się tak poważnie, tak uroczyście nie wydawała, jak przy tem świetle samotnem a bolesne oblicze Bożej dziewicy zdawało się, osobliwie w czasie cichego oświecenia, jakby mówić chciała: "Przychodźcie syny ludzkie! i przypatrzcie się, com dla was uczyniła."

Hrabina weszła do kaplicy i usiadła po prawej stronie ołtarza. Wszędzie było cicho i spokojnie. Na świętem tem miejscu nie pokazał się żaden nieprzyjaciel, żaden prześladowca. Tu panowało tylko nabożeństwo i błogosławieństwo, tu tylko niebieska szczęśliwość. — Z oddaniem się zupełnem na wolą Bozką, wzniosła Teodora oczy ku cudownemu obrazowi i zaczęła się modlić: "Panie! Tyś dał, Tyś wziął. Tyś ojcem, gdy dajesz, Tyś ojcem, gdy bierzesz. Niech będzie imię Twoje pochwalone. — Lecz spojrzyj jak tu leżę przed Tobą na kolanach. Od czasu, gdym się tutaj ostatni raz modliła, stałam się ubogą, bardzo ubogą niewiastą. Ach, jakże wnet spełniło się moje przeczucie! O jakże ciężka noc pełna boleści nadeszła dla mnie. Nie mam już nikogo, dokądbym się uciec mogła. Henryk mój nie żyje; własność moja stała się ofiarą płomieni. Cóż mam począć? O Panie, Ty wiesz najlepiej, jak jestem zewsząd opuszczona, o nie opuść mię Ty przynajmniej. Ja poruczam siebie jako też dziecię moje świętej Twojej opiece. Postępuj z nami podług Twojej woli. Zawołaj nas do siebie, zawołaj, oto tu czekamy."

Tu się zaczęła rozpływać w obfitych łzach boleści. Lecz przez to właśnie stał się ciężar na jej duszy lżejszym. Płakała prawie przez całą noc, wreszcie znużyła się płaczem tak, że zasnęła, wsparłszy się o ławkę. Oton zasnął już pierwej, był bowiem bardzo strudzony i znękany. Skoro dnieć zaczęło, znowu się obudziła i uklękła przed ołtarzem. Takim sposobem pozdrowiły ją pierwsze promienie słoneczne w głębokiem nabożeństwie, lecz niestety! i we łzach, lubo cichych.

Tymczasem przebudził się i Oton. Usiadłszy, obejrzał się naokoło. Wszystko zdawało mu się smutnem i obcem. Co się z nim stało, utrzymywał za sen okropny. Dla tego rzekł: "Gdzież jestem? Gdzież matko moja?" Wtem spostrzegłszy ją, zapłakał rzewnie. "Nie płacz, drogie dziecię!" przemówiła Teodora i usiadła obok niego na pierwszym stopniu ołtarza. Potem rzekła dalej: "Spojrzyj tylko ku Zbawicielowi naszemu a znajdziesz pociechę; On nas nie opuści w straszliwem tem położeniu. Wszakżeśmy jego dzieci. Męką niezmierną, swoją śmiercią okrutną zrobił nas swemi dziećmi. Za to mu też mój Otulku, najpierw podziękuj. Cóżby się z nas stało w tej dolegliwości, gdybyśmy wiary jego nie mieli. Czemżebyśmy byli bez słodkiej tej nadziei, że się wszystkie nasze cierpienia kiedyś skończą, tak jak się Jego cierpienie skończyło? O jakże pocieszająca jest ta wiara, że skoro nas do Siebie zawoła, twego ojca ujrzymy i że go wiecznie będziem widzieć. Pójdź, pójdź! klęknijmy, drogie dziecię, klęknijmy przed świętym Boga ołtarzem. Prośmy Go serdecznie, aby raczył rzucić promyk tylko dobroci ojcowskiej na przyszłość naszą, smutną i odstraszającą. O módlmy się o to do Niego, abyśmy wiedzieli dokąd się udać i co począć mamy. Lecz podziękujmy Mu za wszystko przykre, co na nas przypuścił. Wszak i wtedy nie przestaje być naszym ojcem, kiedy nam kielich gorzkiej męki napełnia, jest naszym ojcem i wtedy, gdy doświadcza lub karze.

Uklękli i zaczęli się modlić. Płynęło tam wiele, wiele łez. Po skończonej modlitwie rzekła hrabina znowu: "W tej okolicy nie możemy dłużej zostawać, służalce zaciętego na nas Felzenhejma zapewno już nas długo szukają. Musimy się więc przed ich śledzeniem schronić. Musimy więc iść precz, precz ztąd daleko. Za rzeką Renem leży kraj, łańcuchami wysokich gór otoczony. Mieszkający tam ludzie są dobrzy. Nie przyjdzie tam nikomu na myśl aby jeden znieważał drugiego. Nikt tam nie wydziera obcej własności. W cichej zgodzie żyją wszyscy między sobą jak bracia. A kto się do nich jako do obrońców uciecze, jest bezpieczny od wszelkich prześladowań. Tam my to powędrujemy. Znajdą się litościwe serca, które nam poddaszka jakiego ustąpią. Wtedy sobie możem żyć w cichej samotności, modląc się gorąco do Boga wśród smutku i przypominając sobie owe upłynio-

ne dni szczęśliwe. Będziem błagać najłaskawszego Ojca, aby nas pocieszał i aby raczył skrócić godziny smutku życia naszego. Wszak nie mamy nic w świecie, coby nas obchodziło. Ach wszystko obumarło dla nas na ziemi od czasu, jak mąż mój a twój ojciec żyć przestał."

Tu zamilkła, przypominając sobie małżonka, już zmarłym mniemanego, jako też i okropne zdarzenie nocy upłynionej, zaczęła znowu płakać mimowolnie a widząc biedną dziecię swoją sierotą, tem mniej się utulić mogła.

Tymczasem wzbiło się słońce aż na najwyższe niebo. Był więc wielki czas udać się w drogę, aby przed zmierzchem dostać się przynajmniej do najbliższej doliny. — Rozdzieliwszy Teodora swój płaszcz na dwie części, dała połowę do przykrycia synowi, aby mu chłodne powietrze jesienne za bardzo nie zaszkodziło, osobliwie, że delikatne ciało mało mogło wytrzymać. Drugą połową przykryła sobie głowę i podgarnęła sobie pod nią włosy, od wczorajszej nocy dotąd rozpuszczone. Pod pachą zaś niosła mandolinę, która jej najwięcej mogła pomódz do odprawienia zamierzonej wędrówki.

Zwróciwszy się jeszcze do ołtarza rzekła drżącym głosem: "Panie! bądź nam przewodnikiem przez nieznane krainy. Wzrusz serca ludzkie litością, aby mię, biedną niewiastę i osierociałe to dziecię wolno przepuszczono. Jeżeli nam nie raczą dopomódz, niech się przynajmniej z nas nie urągają. Prowadzeni przez Ciebie, Ojcze, nieomylnie u celu naszej podróży staniemy. Za to niech ci będzie dziękczynieniem ciche i bogobojne życie."

Oddawszy się opiece najpotężniejszej Istności, zrobiła znak krzyża nad Otonem i wybiegła pełna odwagi z kaplicy. Trudno jej prawda było na widok spustoszonej okolicy i zburzonego zamku, który jeszcze wczoraj o tym samym czasie wspaniale, jako pyszna ozdoba całej okolicy, sterczał, przecię utrzymała się na chwiejących nogach i ruszyła w drogę.

W krzakach zaraz przy kaplicy ułamała dla siebie i dla Otona prątek na laskę i biegła czemprędzej dalej, aby się jak najrychlej do lasu jodłowego dostać który się ponad pagórkiem ciągnął. Będąc już w boru, obejrzała się jeszcze raz i to oczyma po całej okolicy. Widok ten pobudził ją znowu do płaczu. Brała ona ostateczne pożegnanie od tego wszystkiego, co jeszcze nie dawno do niej należało. Najbardziej zaś zapatrzyła się na zwaliny zamku, pod któremi, jak mniemała, mąż jej był pogrzebany. Poczem znikła w głębi ciemnego lasu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Zamek łupieżki rycerza Dytrycha.

Jak mile spoglądał na dolinę zamek Waldbergen, nim jeszcze owa noc zniszczenia nadeszła, tak okropnym, tak wstręt wzbudzającym był widok zamku stojącego na brzegu Renu i należącego do dzikiego rycerza Felzenhejma. Ow bowiem był siedliskiem zgody niebiańskiej, a ten służył na schronienie dzikiemu drapieżcy, który się bogacił obcemi łupami. Z jednej strony sterczały gąszcze lasów odwiecznych, w których się rozmaity zwierz ukrywał, z drugiej zaś płynął Ren potężny z szumem donośnym. Na tejże samej stronie spadała bardzo przykra ku rzece góra, na której zamek był w skale wykuty a największa jego część składała się z więzień i ciemnic podziemnych. Na drugiem tylko piętrze znajdowało się kilka wesołych pokojów, rycerzowi i jego małżonce na pomieszkanie służące. Z nich można było mieć widok aż daleko za Ren, gdzie się mile i ludne rozciągały równiny.

Rycerz Dytrych miał pomimo swej złośliwości małżonkę bardzo dobrą i szlachetną. Matylda było jej na imię. Wówczas, gdy się o jej rękę ubiegał, udawał przynajmniej, jak gdyby był pełen cnoty, jak gdyby był poczciwy, czem mu się udało pokryć niegodziwość serca swego. Później zaś dopiąwszy już celu, pokazał się w całej ohydzie swej nikczemności. Niedługo po dach weselnych, musiała się już Matylda łzami zalewać, płacząc we dnie i w nocy, że się za spiesznie na taki ważny krok ważyła. "Ach! wzdychała nieraz, o gdyby

też mogła do mych rodziców powrócić! O jakżebym szczęśliwie pędziła dni wśród nich, a teraz jakże nędzną jestem! Pojmuję więc, czemu mi się tak ciężko było pożegnać, gdym się z nimi rozstać miała. — Przecie chcę wszystko znieść z cierpliwością, stawszy się już żoną. Bóg mię nie opuści. Krótkiem jest życie ziemskie a cierpienia przez męża mi zrządzone nie potrwają dłużej jak to życie."

Dytrycha bali się wszyscy jego poddani. Matyldę zaś kochał z nich każdy. Był on okrutnym i nieprzebłaganym. Razu pewnego kazał w zapalczywości swojej ze skały strącić starego sługę, który dla wieku nie był w stanie za ciężkiej swojej roboty spiesznie skończyć. Matylda przeciwnie postępowała sobie z wszystkimi łagodnie i z pobłażającą miłością.

Gdyby się Dytrych kiedy był chciał poprawić, stałoby się to było za wpływem jego małżonki. Postępowała ona sobie z nim tak dobrze i łączyła z swoją łagodnością przystojność tak szlachetną, że się było trzeba dziwować, że tak zatwardziałym mógł być w swojej niegodziwości. Przedstawiała mu jego mściwość w jak najopłakańszych skutkach; płakała, prosiła i zaklinała go na samego Boga, aby już wreszcie inne zaczął prowadzić życie, aby swą złość i popędliwość poskromił, aby obstawał na swojej własności, aby szukał szczęścia w zgodzie domowej: Patrz tylko, mawiała nieraz z płaczem, patrz tylko, ja cię kocham z całego serca; wszystkie me myśli i uczynki ściągają się tylko do ciebie. Chcę ci się przypodobać, chcę cię powabiać mą bliskością, abyś tylko za obcą własnością nie gonił. Dotychczas nie poznałeś jeszcze rozkoszy życia, na zamku ustronnym w cichości pędzonego. O zacznij wreszcie żyć jak na uczciwego rycerza przystoi, a winieneś to dla swych poddanych, dla żony swojej, winieneś to gwoli samego siebie. Tak się podoba Bogu, który na cię patrzy z niebiosów, a któregoś już dawno porzucił. O wspomnij na ową smutną godzinę, kiedym się z rodzicami żegnała, a kiedy oboje na nas swe błogosławieństwo zlewali. Ach, cóżeś to wtedy przyrzekł szlachetnemu memu ojcu? jakżeś to wtedy zapewniał, że sobie będziesz zawsze postępował bogobojnie i że małżonki nigdy nie strapisz. Dytrychu, Dytrychu, jakżeś to dotrzymał słowa; ileż łez wycisnąłeś mi z oczu! Lecz zapomnę wszystko co się stało, wszystko to wytrę z pamięci, jak gdyby tego nie było. Owszem nie przestanę cię nazywać najkochańszym mym małżonkiem, lecz popraw się odtąd i żyj dla Boga i dla własnego zbawienia. Wtedy się zleje na dom nasz stokrotne błogosławieństwo, a podziękujesz mi z łzami radości, żem cię napomniała.

Podobnemi mowy zmiękczył się nieraz Dytrych. Wtedy przyobiecywał jak najświęciej, że się poprawi. Najczęściej zdarzało się, że ją za to potwarzami okrył a potem mrucząc sobie jeszcze coś pod strasznemi wąsiskami wyszedł i drzwi za sobą zatrzasnął, aż okna zadrzały. Czasem też patrzał niewzruszony niejaki czas w ziemię, a potem rozrzechotał się śmiechem piekielnym i kazał sobie osiodłać wierzchowca. Wtedy jeździł przez cały dzień po boru, aż wreszcie do ustronnej zajechał karczmy, gdzie swą niechęć w mnogiem zalewał winie. Widząc Matylda, że jej słowa na nic się nie przydały, uskarżała się w swej dolegliwości przed Bogiem i prosiła go z nabożeństwem, aby wreszcie rozum męża oświecił a serce jego zmiękczył.

We wszystkich więzieniach jęczeli w zamku pojmani. Byli oni przez drapieżnego rycerza do zgonu na to skazanymi. Nieomal wszyscy byli niewinni a tylko zemsta niesprawiedliwa Dytrycha i jego żądza złota, wtrąciła ich w tę nędzę. Los ich opłakany obchodził szlachetną Matyldę niepospolicie. Na kolanach błagała już męża, aby przecię tak niesprawiedliwym nie był, aby wypuścił więźniów na wolność, aby im ich własność przywrócił. Lecz wszystko na próżno. Za każdą wnet razą odepchnął wśród przekleństw od siebie. Razu pewnego powiedział nawet wręcz, że i ją do ciemnicy wrzuci, jeżeli swego natręctwa nie poprzestanie. Zamilkła więc, Boga tylko było jej wolno prosić, aby wreszcie jaką zmianę zesłać raczył.

Na wielkie jej szczęście był rycerz czasem i kilka miesięcy nieobecnym. Bujał on po obcych posiadłościach. Wtedy mogła znowu wolno oddychać, wchodziła w dolinę

mile otoczoną lasem. Świeże powietrze było jej bardzo pomocnem. Nieraz musiała podobnej przechadzki na długi czas zaniechać. Gdy się Dytrych w domu bawił, nie było jej wolno na krok wyjść z dziedzińca. Miły Boże! mawiała, chodząc sobie po błoniu, jakżeż wszystko ku dobru człowieka urządziłeś, a jakże on mało poznaje wszechmocność Twoją i dobroć ojcowską! Gdym jeszcze u rodziców była i z nimi się po polu przechadzała, a chłodny wietrzyk tak mile powiewał, a gaj się przyjemnie zielenił, a kwiatki tak ślicznie kwitły; kiedy się zboże dojrzałe po niwach kołysało, a ptaszki i żniwiarze tak wesoło śpiewali, ach jakżem mało jeszcze wtedy poznała, że to wszystko od Ciebie pochodzi, że to wszystko jedynie z miłości ku stworzeniom, tak wspaniale urządziłeś. — Teraz zaś widząc jaki kwiat na błoniu, radabym go ucałowała z radości. A kiedy ptaszki słyszę w gaju tak wdzięcznie śpiewające radabym padła na kolana i podziękowała Tobie, że mi przez te małe zwierzątka smutny tu pobyt zmilasz. Lecz takim to zawsze jest człowiek; gdy się znajduje wśród szczęścia największego, wtedy najmniej pamięta o Bogu; lecz w złej doli, kiedy godzina jęków wybiła, o wtedy rzuca się na kolana i dziękuje mu z głębokości serca za radość choć najmniejszą.

Czasem przecię wylewała dobra ta pani łzy bardzo gorzkie, widząc się tak od całego świata opuszczoną. Żadnej osobie w zamku nie mogła się zwierzyć, gdyż prawie u żadnej na litość liczyć nie mogła. Wójt zamkowy był to obłudny człowiek i wielki gaduła, który ani rycerza, ani pani nie chciał zniechęcić. Gdy w domu bawił wtedy był na jego stronie z duszą i ciałem i popełnił wraz z nim najzłośliwsze niegodziwości, ani się na to wzdrygnąwszy. Lecz gdy pan wyjechał, wtedy czołgał się z upodleniem przed panią i oczekiwał jej rozkazów z największą skromnością. Nie podobało mu się wprawdzie życie niesforne rycerza, lecz nie był tak śmiałym, żeby mógł prawdę wręcz powiedzieć, a chociażby przez to i służbę miał stracić. Dla tego się też raz wielka zwada wszczęła między nim a jego żoną, posiadającą niejednę cnotę chwalebną. Wyrzucała mu bowiem, osobliwie, gdy sobie, jak się to często działo, cokolwiek w karczmie podchmielił, iż nie w swem miejscu rycerzowi ulegał, a wyrzucała mu z wszelką wymową, na jaką się tylko kobieta zdobyć może. Onaby też była najbardziej podług serca Matyldy; lecz wójt zamkowy przerywał jak najostrożniej wszelkie stosunki, któreby owe dwie niewiasty mogły były sprowadzić na jedno miejsce. Bał się bowiem, aby go kiedy żona nie oskarżyła coby zapewno niełaskę hrabiny za sobą ściągnęło.

Tak upływały dnie, tygodnie i miesiące a biedna pani nie użyła najmniejszej uciechy. Lecz za zbliżeniem się wiosny rozkwitnął i dla niej wśród dolegliwości i cierpień miły nader kwiatek. Stała się bowiem matką córeczki, którą Agnieszką nazwała. W czasie, gdy ją na ręku trzymać i do serca przyciskać mogła, zapomniała o wszelkich przeciwnościach życia. Siedziała zawsze przy kołysce a największa jej troskliwość była około tej wdzięcznej dzieciny. Dniem i nocą modliła się do Boga, aby jej przecie nie zabrał jedynej tej pociechy. Za tę nieustanną troskliwość wynagrodziła jej też Agnieszka wkrótce. I czemże? Oto słodkim uśmiechem. A gdy się Matylda nad poduszkami uchyliła do ucałowania miłej dzieciny, wtedy wydobyła Agnieszka swe rączki i igrała sobie z pierścieniami jej włosów. "O tak, tyś moją jedyną najukochańszą córką, moja Agnieszką!" mawiała matka po tysiąc razy. Czasem nawet, mówiąc do niej, bawiła się z nią całe godziny, jak gdyby ją mała dziewczynka już rozumieć mogła. W każdem jej poruszeniu upatrywała macierzyńska miłość Matyldy jakieś znaczenie.

Po upływie roku, gdy już dziecina imię "Matko!" wymówić mogło, (a stało się to po raz pierwszy pewnego wieczora wśród ślicznego lata), wtedy się Matylda w wielkiej swej radości wcale nie mogła umiarkować. To płakała to się śmiała z rozkoszy. Potem pobłogosławiwszy ją, wzniosła z zachwyceniem ku niebu wieczornemu swe oko i poślubiła sobie uroczyście, iż najgłówniejszem jej staraniem będzie wychowanie małej Agnieszki.

Agnieszka wzrastała na cudną, anielską dziewicę. Wyborne nauki, jakie w nią matka co dzień, co godzina z nieopisaną łagodnością i powagą wpajała, utkwiły w jej serce głęboko. Nie brakowało jej więc ani jednego z owych nieoszacowanych przymiotów, które człowieka Bogu i ludziom miłem czynią. Była skromną, pokorną i obyczajną. Kto ją tylko ujrzał, dziwił się jej uprzejmości, jej ujmującemu zachowaniu się. Każdy mówił: "Agnieszka jest to wprawdzie druga matka. Na niej ręka Boska spoczywa." Ile razy się modliła, można ją było widzieć klęczącą na stopniach przed owym ołtarzem zatopioną w prawdziwem nabożeństwie, a piękną jak anioł. W domowem gospodarstwie pomagała swej matce, pomimo swej wielkiej młodości we wszystkiem jak najchętniej. A dla każdego była grzeczną i uprzejmą. Gdy kogo szczęście spotkało, cieszyła się, jak gdyby to ją samą. Z nieszczęśliwym zaś wylewała łzy najczulszego politowania. Lecz się na tem nie skończyło. Komu bowiem tylko pomódz mogła, pomagała natychmiast, a jeżeli to jej możność przewyższało, udała się do matki i nie przestała prosić, aż pomoc dla tego i owego wyprosiła.

Inne pominąwszy i to już jest wielkim dowodem dobrego jej serca. Razu pewnego chciała jej matka na urodziny sprawić sukienkę z kosztownej materyi. Skoro Agnieszka o tem zamiarze wiadomość powzięła, zasmuciła się i łzy stanęły w jej oczach. "Cóż ci to dziecię?" zapytała jej Matylda z obawą. "Jestżeś chorr? Cóż ci brakuje? Powiedz otwarcie! Wszakżem twoja matka." — "Ach!" odrzegła Agnieszka. "Ach, droga sukienka którą mi to chcesz sprawić, wyciska mi łzy pomimo mej woli. Będzie ona za wiele kosztować. Lekka parcienka, droga matko! byłaby dla mnie dosyć dobrą." — "Dla czegoż to tak?" pytała znowu matka. "Wszakżebyś się przed innemi pannami rycerskiego rodu wstydzić musiała, chodząc w tak grubem odzieniu." "Nie, nie! wstydzić ja się nie będę," odrzekła Agnieszka. "O, płócienna sukienka jest dla mnie dosyć dobrą, ja ją wolę jak taką drogą." — "Dobrze więc," rzekła Matylda. "Jeźlić tak sama chcesz, uczynię ci podług woli." Uprosiwszy matkę w tym względzie przyskoczyła ku niej i pocałowała ją w rękę, mówiąc: "Dziękuję ci też za to, droga matko! dziękuję serdecznie. A że moją pierwszą wysłuchałaś, raczysz mi i drugiej nie odmówić. O wiem ja, wiem dobrze, że się tak stanie. Wszakżeś ty tak dobra, bardzo dobra." — "Więc" rzekła znowu Matylda, "daj się więc z prośbą swoją słyszeć." Tu się przycisnęła dziewczynka matce do łona, a mając swą główkę jasnowłosą na jej prawicy opartą, patrzała w oblicze jej ku sobie nakłonione i rzekła: "Znasz ty ową nędzną chatkę pod borem nad strugą? Tam mieszka Kruno a jest chory i cierpi niedostatek. Jak tylko zapamiętać mogę, ani się ruszył z łóżka. Nie może władnąć nogami; ach przytem jeszcze głód mrzeć musi! Dobra jego córka Tekla nie wie, czemby biednego ojca zasilić, czemby jego cierpienia zmniejszyć mogła. Sama jest bez sukienki, nawet pończoch nie ma. Ach jakżeż wiele przeszłej cierpiała zimy! Rękoma wygrzebywała z pod śniegu suche gałązki, aby tylko dla drżącego Krunego rozgrzewać izdebkę. Oto ja, drogo matko, za nią się wstawiam. Daruj jej tyle, ileby jedwabna moja sukienka kosztować mogła. Uśmiechasz się? O jakżeż ty dobra. A teraz twe oczy zaszły łzami. Mogę się spodziewać droga moja kochana matko?"

W tej chwili nie była Matylda w stanie ani słowa wymówić. Przycisnęła ją zaś do siebie tak, że ją Agnieszka obiema rączkami za szyję objąć mogła. Lecz i teraz jeszcze nie była w stanie wyrazić niespodziewanej radości, jak tylko przez słodkie, macierzyńskie pocałunki. Wreszcie rzekła z czułością i z łzami: "Agnieszko, złota ty moja córko! zachowaj twe serce w takiej miękkości, w dobroci, dopóki tylko żyć będziesz. — Słuchaj! z największą chęcią uczynię ci to, o coś mię prosiła. Wiesz co? chcę nawet bliżej poznać smutne położenie biednego Krunego i Tekli nieboraczki, a potem co miesiąc poskramiać ich potrzeby. Ty, drogo Agnieszka, dałaś początek, że ten dobry uczynek spełnię, bądź więc i najpierwszą, która owym biedakom wesołą nowinę zaniesie. Powiedz im, że się nimi i opiekować będę. Co zaś twa sukienka kosz-

tować miała, to im zaraz dasz, aby sobie tymczasem chleba i mleka kupić mogła i dłużej nie cierpieli głodu."

Skoro Agnieszka to usłyszała. pospieszyła jak najprędzej do chaty biednego Krunego. Stary ten człowiek płakał i śmiał się zarazem w swojej radości. Radby był za to Pannę za rękę uścisnął, lecz nie śmiał gdyż widział jak delikatną i śnieżystą miała rękę gdy tymczasem jego brudna była i pełna marszczek. Ale gdy go Agnieszka sama za rękę uchwyciła a potem ją lekko pogłaskała, zaczęła płakać i łkać, jak gdyby mu łzy z piersi płynąć musiały. "Gdy już na tamtym świecie będę" rzekł jąkając się wśród płaczu, "wtedy się też serdecznie modlić będę, aby Bóg dobrotliwy Pannie wszystko dobre wynagrodzić raczył." "O zróbcie tak, sędziwy Krono!" odrzekła Agnieszka i musiała także płakać. Najbardziej zaś rozczuliła się Tekla w kącie stojąca. Bolało ją to bardzo w sercu, iż przed panną w żadnym czystym fartuszku pokazać nie mogła. Lecz Agnieszka wyprowadziwszy ją na środek izby, chciała ją tem zaspokoić, iż jej przyrzekła fartuch nowy. Wtem się przemienił jej płacz w śmiech radosny. Pełna wdzięczności pocałowała pannę w rękę.

Rycerz Dytrych zaś nie miał dla takich macierzyńskich i dziecinnych rozkoszy żadnego uczucia. Bujał on ustawicznie po kraju i ledwie wiedział, że ma tak dobrą córkę. A chociaż czasem dla słoty i zawieruchy w domu siedział, przecię zdarzało się, że nieraz kilka dni upłynęło a on ani z żoną ani z córką i słowa nie mówił. Gdy jeszcze Agnieszka w kołysce leżała, była Matylda tej dobrej nadziei, iż się wreszcie umysł Dytrycha odmieni, skoro jej córka do lat przyjdzie, kiedy dzieci niewinnem słowem i czułem podchlebianiem lub słowami pociesznie wyrzeczonemi serca rodzicielskie niezmierną radością napełniają. Lecz niestety! i w tem się omyliła. Był on takim jak dawniej, to jest zawsze nieczułym, surowym.

Agnieszka skończyła już rok szósty. Z każdym dniem nabierała więcej rozumu i cnoty, co dzień więcej wdzięków. O tej porze zdarzyło się, iż rycerz znowu długo nie bawił na zamku. Matka i córka siedziała co wieczór aż późno w noc, oczekując ojca z niespokojnością i dla jego długiej niebytności nic dobrego się nie spodziewając. Wreszcie dał się pewnej nocy okropny wrzask i łoskot przed bramą słyszeć, a zaraz potem słyszano hałas i radosne wykrzyki na dziedzińcu. Sądziły wprawdzie, że Dytrych przybył, lecz owych krzyków nadzwyczajnych wytłumaczyć sobie nie mogły.

Po upływie godziny wszedł rycerz do pokoju i żądał wielki kufel wina. Ten wypróżniwszy, wołał o drugi i trzeci, podczas czego z piekielnym śmiechem wykrzykiwał. "Ha! więc mi się przecię udało pokonać największego mego przeciwnika!" Wypiwszy i trzeci kufel, spadł wreszcie pijany z krzesła na ziemię, na której nazajutrz jeszcze leżał. — Matylda i Agnieszka dowiedziały się zaraz dnia następującego od wójtowej, która podczas, gdy się jej mąż w karczmie pod borem bawił, na zamek była przybiegła, iż Dytrych hrabiego Waldbergen pojmawszy, wśród jakiejś skały uwięził. "Tak mi mój mąż powiedział," dodała burgrabina, "a wie to z ust samego Wielmożnego Pana."

Słysząc to, spojrzała matka i córka z nowym smutkiem na siebie a Matylda rzekła: "Ach cóż to się jeszcze stanie! O Boże, ty wiesz dobrze, że nie mamy w tem winy, co Dytrych ciągle broi. Tak nam nasze sumienie powiada. Niech więc nastąpi co chce, my zawsze w Tobie pokładamy swą ufność."

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Ojciec Beatus.

Równocześnie żył w Szwajcaryi sędziwy pustelnik. Chatka jego skromna i cicha stała na wysokiej skale nad jeziorem Tuńskiem Już przed kilku laty przybył on w ową okolicę i zaczął na owej górze, która mu się szczególnie podobała, przemieszkiwać. Był to czcigodny starzec mający około siedmdziesiąt lat, z wysokiem i mocno pomarszczonem czołem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RZEŹ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy).

Oficer.

(*Podchodzi do gubernatora i oddając uszanowanie mówi:*)

Wasza wysokość! Co mamy czynić z zabitymi?

Gubernator.

Wykopać jamę, wrzucić w nią wszystkich, potem weźmiecie 300 koni i końmi zatratujcie, zarównajcie ziemię tak, ażeby ani znaku nie pozostało, gdzie będą zakopani!

Oficer.

Słucham waszej wysokości! (*Idzie do kozaków i mówi im:*) Kozacy! wykopcie jamę, zwalcie w nią wszystkich, potem siadajcie na konie i końmi zarównajcie tak, żeby ani śladu nie pozostało!

Kozacy.

Słuchamy i uczynimy wszystko tak, jak nam jest rozkazano.

Mitrafanow (*do oficera.*)

Co mamy czynić z bardzo pokaleczonymi, których jest bardzo dużo?

Oficer.

Spakować do jamy razem z trupami; jeżeli jeszcze nie pozdychali, to tam pozdychają!

Mitrafanow.

Ale my musimy pierwej przeszukać ich kieszenie i wybrać znajdujące się w nich pieniądze! Z pieniędzmi zakopać toby było grzechem.

Oficer.

(*Nie odpowiada ale ruchem głowy daje znak, że mogą to zrobić.*)

Kozacy.

(*Szukają w kieszeniach zabitych i pokaleczonych. Skończywszy rabowanie, wynoszą po jednemu, a na końcu biorą Maryannę. Gubernator wychodzi.*)

SCENA II.

Ciż bez gubernatora.

Maryanna.

(*Będąc jeszcze żywa, a widząc, że ją kozacy wloką do jamy prosi błagalnie.*)

Najmilsi kozacy! Darujcie mi życie! Pozwólcie mi tu umierać, pozwólcie mi wyspowiadać się ostatni raz! Jezus, Marya, Józefie święty przyjmijcie duszę moją.

Mitrafanow.

Ja cię tu wyspowiadam, jeśli tylko chcesz! Tam w jamie nie sama będziesz!.... Kozacy!... do koni!... Trzeba zaraz końmi zarównać jamę. Tylko się spieszcie, ponieważ dziś jeszcze musimy pohulać.

Kozacy (*wraz z Mitrafanowem wloką Maryannę i wychodzą z wyjątkiem Zofika i Duły, którzy stoją na straży przy rannych.*)

SCENA III.

Pozostali i żyd.

Żyd.

(*Przynosi za pazuchą i w kieszeniach butelki z wódką, przybliża się do kozaków stojących na straży i mówi:*)

Czy wam nie jest zimno tu stać? (*wstrząsa się.*) Aj — waj! Dzisiaj tak zimno, że aż stracił!

Zofik.

Kto ciebie tu przysłał?

Żyd.

Ny, jakto kto? Ja tu sam przyszedł, bo ja kozaków bardzo kochać! Ja wiedział, że wam tutaj stać jest zimno; to ja dla tego

przyszedłem i wódki przyniosłem.

Duła.

Dobrze zrobiłeś, że wódki przyniosłeś, ale my teraz nie mamy pieniędzy.

Żyd.

Ny, — to ja poczekam do jutra. Ja wiem, że wy jutro będziecie mieli pieniądzów. (*Podaje kozakom po butelce wódki i wychodzi. Duła i Zofik piją, śmieją się itd.*)

SCENA IV.

Pozostali, Borys i Tomasz, później gubernator.

Kozak Borys.

(*Przyprowadza Tomasza, popycha go, bije nahajką, kopie nogą, krzycząc:*)

Daj pieniądze! Bo jeśli nie dasz, to cię zabiję! Dawaj pieniądze! a jak nie dasz, to powiem gubernatorowi, że i ty razem z innymi byłeś w kościele, to zobaczysz co to będzie!

Tomasz.

Jakże ja mogę dać, kiedy pieniędzy nie mam, ani jednego grosza.

Gubernator.

(*Przychodzi i staje z prawej strony.*)

Borys.

(*Przyprowadza Tomasza przed gubernatora, któremu oddaje uszanowanie i mówi:*)

Wasza wysokość! Ten człowiek był razem z innymi w kościele. Są nawet znaki nahajek, które otrzymał w kościele.

Tomasz.

(*Płacząc, łzy ociera chustką.*)

Nie byłem (*płacze.*) Nie byłem (*płacze*). Spałem w domu! (*płacze.*) Kozacy, napadli na nas w nocy — pieniądze odebrali — wszystko zboże wysypali koniom, (*płacze*) szynki, gęsi, kury powynosili! (*płacze.*) Dwie córki miałem i te zabrali nie wiem dokąd — i nie wiem co z niemi się stanie. (*Podnosi głos, pada na kolana i łkając głośno mówi*). Panie! uczyń litość nademną!

Gubernator.

(*Ze złością krzyczy do Borysa.*)

Daj jemu nahajką ile tylko wlezie i zaprowadź tam gdzie inni są zamknięci (*odchodzi.*)

Borys.

(*Popychając Tomasza, bije i pędzi w stronę gdzie inni są zamknięci. Potem wychodzi, za chwilę wraca, trzymając w jednej ręce butelkę z wódką, a drugą ciągnie Teklę która zmuszona idzie, płacząc łzy chustką ociera. Poczem mówi do Tekli:*)

Milcz! a jeżeli nie, to cię zabiję, głowę skręcę. Widziałaś, cośmy uczynili z innemi, to samo i z tobą będzie! (*Sam co chwila popija z butelki i zmusza Teklę do picia, poczem pijany prowadzi Teklę do Tańca.*)

Tekla (*wódki nie pije, stoi zrozpaczona i łzy ociera.*)

Włas Kozak (*przyprowadza Agnieszkę i to samo czyni co Borys, a Agnieszka postępuje podobnie jak Tekla.*)

Trzeci Kozak.

(*To samo czyni z Katarzyną, a ta to samo co dwie poprzednie.*)

Żyd.

(*Przychodzi opakowany butelkami, rozdaje takowe kozakom, a gdy który butelkę wypróżni, daje mu drugą z wódką.*)

Mitrafanow.

(*Zupełnie pijany krzycsy na dziewczęta:*)

Czy wy suki nie przestaniecie płakać? Jeżeli wy nie będziecie z nami się bawić i cieszyć, to my was albo powiesim, albo zabijem, tak jak innych, już zabiliśmy (*bije nahajką, a potem ciągnie do tańca. To samo i inni kozacy czynią.*)

Oficer.

(*Przychodzi pijany, patrzy na butelki, których pełno na podłodze i odzywa się do pijanych kozaków:*)

Nu kozacy! czy dobrze pohulaliści?

Kozacy. (*Pijani oddają uszanowanie.*)

(*Pijani oddając uszanowanie. O, dobrze! dobrze! dobrze!* (*Dziewczyny korzystając ze sposobności uciekają w stronę.*)

(Dokończenie nastąpi.)